

## Wojciech Stanisławski: The Newer Yorker

„Biografia New Yorkera” to niezły reportaż – i świetna próba wiernego oddania „retoryki woke” w polszczyźnie.

Lekko lakierowane okładki o idealnej gramaturze, ani za miękkie, ani za sztywne, na których udawało się oddać pastelowe odcienie – lekki róż, błękit, zieleń – po jakie sięgali Maira Kalman czy Jack Hunter. Eustace Tilley w cylindrze, figurujący na okładce przynajmniej raz do roku. Diereza, czyli dwie kropki nad drugą z powtarzających się samogłosek, które kiedyś dziwiły, a dziś, jeśli natknąć się na nie w lekturze, okazują się zabawnym niczym trzylatka na obcasach dodawaniem sobie powagi: *reëlected, reënactment*. Dziesiątki autorów, których *esprit*, od Allena po Salingera, od Parker po Updike’a, szlifowany był właśnie w TEJ redakcji. No i rysunki, co tu kryć, najwspanialsze w świecie *cartoons*: od ostrych kątów Williama Steiga z lat 60. i 70., piratowanych bez żenady przez ówczesny „Przekrój”, poprzez Eda Korena i Charlesa Barsotti, po pointylistycznych urzędników Eda Mankoffa, potargane emerytki Roz Chast i wyłupiastookie łebki Michaela Maslina. No i Steinberg, Saul Steinberg, Planeta Steinberg, którego nieposkromiony geniusz wystarczyłby, żeby stworzyć pismo inne niż wszystkie. Co tu dużo gadać – The New Yorker.

Może nie najbardziej wpływowe medium na świecie, zwłaszcza w epoce portali i patoinfluencerów. Może nie z największym nakładem. Pewnie niejedyny tytuł, który wyrósł na snobizmie czytelników. Ale tak

miażdżąco błyskotliwy, dowcipny i posadowiony w pępku świata, że sięgało się poń w każdej dostępnej postaci: nowego egzemplarza w empiku (jeśli tylko nie był zafoliowany), lekko już zeschniętych numerów sprzed kilku lat, leżących u kogoś na parapecie, strony w necie, a w tłustszych latach – prenumeraty. Ameryka w pigułce, wspaniała i samokrytyczna.

Historia takiego pisma może być tematem niesłychanie ciekawym. Zwłaszcza, jeśli jej przedmiotem byłaby nie tylko treść (nieprzebrana), ale i okoliczności powstania, wyzwania, przed jakimi stawał tygodnik, przemiany stylu redagowania, galeria autorów i ekscentryków, wreszcie – jego przemiany w zmieniających się Stanach Zjednoczonych i to, jak ciśnienia historii przekładały się na treść i charakter „New Yorkera”. W Polsce niewiele się jeszcze pisze takich książek (Jacek Żakowski opisywał, z uwielbieniem i paternalizmem zarazem, „Tygodnik Powszechny”, kilku autorów – najtrafniej chyba Tomasz Potkaj – usiłowało scharakteryzować „Przekrój”), w Stanach – ile chcieć, i popularna bibliografia „New Yorkera” liczy kilkadziesiąt tytułów. Znak zdecydował się nie przekładać żadnego z nich (choć niektóre, np. „The New Yorker and the World It Made” Bena Yagody to perełka!), lecz zamówić polską „biografię” pisma u wykładowcy anglistyki i poety Michała Choińskiego.

Dla autora, specjalizującego się do tej pory w badaniach nad retoryką, stylometrią i literaturą amerykańskiego Południa była to zdaje się pierwsza próba reporterska. Wody, na które wpłynął, są co najmniej równie szerokie jak Atlantyckie, nad którym przelatował w drodze na *fellowship* Fulbrighta, na wykłady na kilku amerykańskich uczelniach, w drodze do archiwów i New York Public Library, gdzie prowadził kwerendę.

Nie utonął w nich – choć entuzjazm blurbodawcy Piotra Kraśko („To genialna książka!”) wydaje się odrobinę przesadzony co najmniej od chwili, gdy w drugim akapicie „Biografii...” wpadnie nam w oczy zdanie „Bo Nowy Jork sprawia, że wszystko staje się bardziej intensywne, a emocje wyrazistsze”. Podobnie emfaticznego entuzjazmu, który czasem sprawia wrażenie obowiązkowego, jest w książce dużo. Również pojawiające się przy większości cytatów z przeprowadzonych rozmów didaskalia („przyznaje z uśmiechem”; „żartował podczas naszej rozmowy”; „dodał już w nieco lżejszym tonie”), zamieszczone zapewne z zamiarem wzbogacenia książki o aurę luzu i bezpretensjonalności, przypominają makijaż Jokera: za dużo różu.

Sam jednak pomysł, by opowiedzieć dzieje „New Yorkera” nie tyle *ab ovo*, co w rytmie kolejnych kryzysów, zmian formatu i przełomowych publikacji – od „Hiroszimy” Johna Hersey’a (1945), przez „Z zimną krwią” Capote’a (1965) po ujawnienie przestępstw Harveya Weinsteina przez Ronana Farrowa (2018) – to świetny pomysł, nadający książce dynamikę, sprawiający, że pędzimy od rozdziału do rozdziału, mimochodem wchłaniając dziesiątki anegdot, nazwisk i biogramów. Choiński nie trzyma się przy tym zbyt sztywno chronologii, potrafi wybiec na kilka lat w przyszłość, szkicując karierę (a czasem zmierzch) kolejnych gwiazd tygodnika. Wiele z tych rozdziałów urywa się zbyt szybko, pozostawia z niedosytem, są raczej jak raca niż jak saga – ale tak pewnie musiało być, jeśli zamierzono napisanie książki liczącej niespełna trzysta pięćdziesiąt stron.

Tym, co spowalniało moją lekturę, co zawadzało mi coraz bardziej, nie były jednak ani papierowe swada i *hype*, ani wyraźny (i zrozumiały u badacza, publikującego dotąd głównie teksty akademickie!) kłopot z

osiągnięciem typowej dla reportażu dynamiki, uwolnienia się od ciężającej temu gatunkowi ostrożności sformułowań i drobiazgowości. Nie, w zdaniu „Chociaż celem rysunków [satyrycznych – ws] było z pewnością wyśmianie aspiracji klasowych i stygmatyzacji rasowej, to widać w nich – zwłaszcza z dzisiejszej perspektywy – mocną niechęć redakcji do głębszego wniknięcia w problemy wykluczenia na tle etnicznym i rasowym” – doskwiera mi co innego.

„The New Yorker” – zarazem „twórca i tworzywo”, czynnik zmian w mentalności elit amerykańskich i świadectwo tej mentalności – dokonał w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, podobnie jak *mainstream* kultury Zachodu, kolosalnego zwrotu. Jeśliby charakteryzować ten zwrot, używając modnego terminu „okno Overtona” – trzeba by zaznaczyć, że przez okno to można by wyjść na werandę w jednym z postkolonialnych dworów Alabamy. Pismo od swych narodzin przed stu laty z natury rzeczy liberalne (w dwudziestowiecznym rozumieniu tego słowa), przywiązane do ideałów obiektywizmu, bezstronności i demonstracyjnego nieraz wyrafinowania intelektualnego – stało się pismem głęboko i jednostronnie zaangażowanym politycznie. Bez reszty skapitulowało wobec postulatu „aktywizmu”, zrezygnowało z prób balansowania czy dystansu, traktując to (zgodnie z postulatami aktywizmu) jako ujmę – a co najgorsze, w najgorętszych kwestiach odrzuciło finezję na rzecz brutalnej dobitności. Najszybciej można to odnotować – wiadomo, obraz wart jest tysiąc słów – kartkując numery w poszukiwaniu *cartoons* i zerkając na okładki. Rysunki Ellie Black, Roz Chast czy Ali Solomon to nadal źródło humoru najwyższej próby, semantycznego i absurdalnego, prowokującego do refleksji metafizycznej. Okładki nadal potrafią zachwycić kondensacją i dyskretnym ciepłem. Ilekroć jednak tematyka jednych i drugich schodzi na żółtowłosą bestię z obwisłym podbródkiem, stojącą na czele

złożonego z *rednecków* i posiadaczy broni motłochu – wydaje się, jakby miejsce Amy Hwang czy Mike’a Twohy’ego zajął czynny w przeszłości na łamach „Krokodiła” kolektyw Kukryniksy.

Oczywiście, ten zwrot w stronę radykalizacji, aktywizmu i woke’izmu dokonał się w świecie zachodnim na wielką skalę, w pierwszej kolejności w świecie akademickim i w mediach, i „New Yorker” nie stanowi żadnego wyjątku. Dla wielu czytelników, uznających tygodnik za wzorzec jakości i smaku, przemiana pisma z Eustace’em Tillym w herbie jest wyjątkowo bolesna.

Można mieć do niej, oczywiście, różny stosunek, również entuzjastyczny. Warto jednak, opisując stulecie tak wpływowego tytułu, przemianę tę dostrzec, striangulować i opisać. Tymczasem, śledząc zarówno wzmianki, jak rozbudowane zdania Michała Choińskiego, nietrudno określić jego mocno krytyczny stosunek do dawnej formuły „New Yorkera” – i bardzo entuzjastyczny wobec „New Yorkera” nowszego, zgalwanizowanego. Gdy mowa o przeszłości, pojawia się nie tylko dyżurna niejako fraza o „polowaniach na czarownice” i maccarthyzmie. USA okazują się krajem, gdzie „panowały rasizm i homofobia”. Uderzająca jest nieskrywana niechęć do formuły z czasów świetności, niechęć, która przybiera znamiona pretensji. „W obliczu zmian społecznych pewne tematy przestają być zabawne” – poucza nas, wysuwając naprzód podbródek, pan Choiński. „Publikowane edytoriale raczej wzmacniały niż podważały istniejący porządek społeczny” – stwierdza ze zgrozą: do czego to podobne, nie podważać porządku! Tak jednak było: „W okresie nasilenia protestów związkowych, strajków i walki o prawa pracownicze, a także o równouprawnienie płci oraz powstrzymanie rasizmu redaktorzy tygodnika przeważnie nie poruszali tych tematów”. I koronne oskarżenie pod adresem „dawnego New

Yorkera”, oskarżenie-tableau, zdanie, które mogłoby ukazać się na szpaltach już nie „Krokodila” lecz „Izwestii”: „Przyjęto strategię szeroko zakrojonej neutralności. W istocie jednak ta neutralność była stronnicza”.

Prawdziwy koszmar, te czasy – jak pisze z nieukrywaną odrazą – „neutralnych, wyestetyzowanych (! – ws) okładek”. Przez wiele, zbyt wiele lat bruździli „konserwatywni czytelnicy”. Dziś na szczęście jest wreszcie lepiej: dziś „New Yorker” dokłada starań, by znaleźć się „w środku dialogu społecznego i politycznego”, a dla gwiazdy tygodnika (być może następcy obecnego naczelnego?), Adama Gopnika, „uosobieniem (...) zagrożenia demokracji w USA (...) jest Donald Trump”. O czym zaś pisze stawiana za wzór dziennikarka? „O społecznych mechanizmach wykluczenia (...) i o stereotypach związanych z nadwagą”. Gdyby zastosować do końcowych rozdziałów książki Michała Choińskiego tak podstawowe narzędzie analizy tekstu jak *term frequency*, częstotliwość występowania specyficznych terminów – co pojawiłoby się w matrycy? Wynotowuję: „Społeczne naciski związane z rolami płciowymi, protesty BLM, George Floyd; ataki konserwatystów; osoby w kryzysie bezdomności; więcej różnorodności, uwarunkowania wykluczenia społecznego”. O, i jeszcze: „Wykształcone kobiety o wysokim statusie, zdeklarowanych poglądach demokratycznych i świadomości patriarchalnych kontekstów społecznych”. To już nie *snowflake*, to *blizzard*.

Kończąc pierwsze okrażenie lekturowe, miałem nadzieję, że autor książki zastosował zabieg naprawdę finezyjny, godny takich autorów „New Yorkera” jak George Steiner czy Vladimir Nabokov: że mianowicie sparafrazował przemianę, jaka dokonana się w leksyce redakcji nie wprost, lecz inkrustując swoje wypowiedzi co smaczniejszymi

kryptocytatami. Po drugiej lekturze obawiam się jednak, że tak nie jest: ostatecznie, dlaczego „zwrot kulturowy”, którego doświadczyli Remnick, Gopnik, Katherine Boo i Rachel Aviv, miałyby ominąć Michała Choińskiego i Wydawnictwo Znak?

Tak, siedzimy w oknie Overtona, rozwartym tak szeroko, jakby jego rozmiary wytyczano przy pomocy salwy ciężkiej artylerii. Jeśli ktoś chciałby w wywołanym tą salwą przeciągu wrócić „New Yorkera” spod znaku stylu, polifonii i liberalizmu – musi chyba sięgnąć po stare numery.

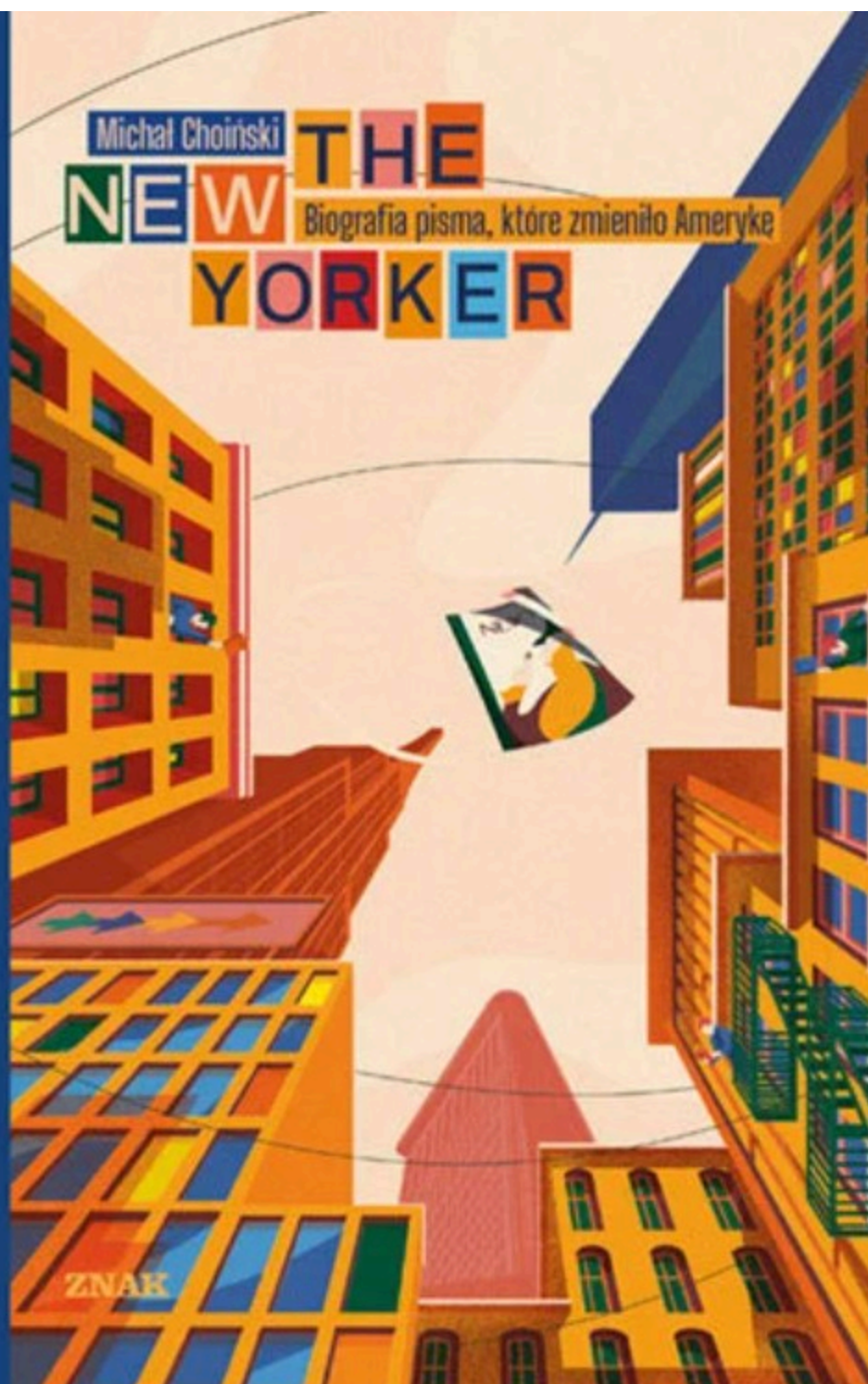
*Wojciech Stanisławski*

**Michał Choiński, „The New Yorker. Biografia pisma, które zmieniło Amerykę”, Znak 2024**

Michał Choirński

# THE NEW YORKER

Biografia pisma, które zmieniło Amerykę



ZNAK

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---